

GAZETA ŚWIĄTECZNA

DZIA 20 GRUDNIA 1903 roku.



Wychodzi w WARSZAWIE na każdą NIEDZIELE

Posyłając przy tej Gazecie kilka jej kawałków, prosimy je porozdawać lub rozesłać tym, którzy Gazety naszej nie znają lub nie czytają. Niech ją poznają, może też do jej czytania ochoty nabiorą.

KOLENDY.

I.

Oto pamiątka największa w roku, oto widomie ludzkiemu oku wcielił się Bóg, — Chrystus Pan z nieba na świat był zesłan na odkupienie.

Nim będziem święta te obchodzili, trzeba, byśmy się z grzechów obmyli i zanieśli serca w dani, jak w pierw ojcowie w otchłani, Bogu w ofierze.

Trzeba pamiętać nam słowa Pana: Duszo, bądź zawsze przygotowana, nie wiesz bowiem dnia owego, kiedy śmierć do serca twego może zapukać.

Jak wielu świąt tych nie doczekało! chociaż ich serce się radowało, a dziś legli martwi w grobie; więc rozważmy dobrze sobie tę przedką zmianę.

Nam dano dzielić się dziś oplatkiem, tym starodawnym szczęścia zadatkiem, który to nam przypomina, kiej Najświętsza Panna Syna w szopce powiła.

A więc pośpieszmy z swemi darami do stajeneczki wraz z pastuszkami, służmy Panu małuśkiemu w żłobku tam położonemu biednie, na sianku.

Pasterze dali dary światowe, my dajmy także chociaż duchowe wraz z sercem czystym; a groz swój wdowi dajmy na kościół, lub żebrakowi jako jałmużnę.

Dziękujmy Bogu za Jego dary, które nam spuścił przez ten rok stary: chwala Mu na wysokości, że nam pokój na niżkości dać tutaj raczył!

Że nas od moru, głodu zachował, od ognia, wojny strzegł i ratował, chwalcmy Go wdzięcznymi głasy, żeby one pod niebiosa mogły się wzbijać.

M. Jegier.

II.

(Na nutę „Dzisiaj w Betlejem”.)

I znów rocznica, i znów rocznica narodzenia Pana, zegnijmy dzisiaj, zegnijmy dzisiaj wszyscy swe kolana. Bóg się objawił, by nas wybawił,

Przedpłatę na Gazetę Świąteczną wysyłać należy do KONRADA PRÓSZYŃSKIEGO, jej pisarza, redaktora i wydawcy, w Warszawie, Plac Tzech Kżyży (gdzie kościół Ś. Aleksandra), 11.

Numer pojedynczy Gazety kopiej. 5, z przesyłką k. 7.

Cena Gazety Świątecznej:

bez przesyłania:		z przesyłaniem:	
Na rok cały	2 ruble	Na rok cały	3 ruble
„ pół roku	1 rubel	„ pół roku	1 r. i 50 k.
„ ćwierć roku	pół rubla	„ ćwierć roku	75 k.

na świat przychodzi, w szopie się rodzi; chwale Bogu dajmy, społem zaśpiewajmy: Chrystus w stajence się rodzi! Na ten świat przyszedł, na ten świat przyszedł Chrystus pożądany; przez wszystkich naród, przez wszystkich naród był oczekiwany.

I tzej Królowie klękli przy żłobie, Pana witali, dary oddali. Pasterze śpiewają, Dzieciątka witają, bo Chrystusa w niem poznali.

Cieszymy się wszyscy, cieszymy się wszyscy z narodzenia Pana, bo On wybawił, bo On wybawił nas z mocy satana. Podwalmy tego Króla naszego; leży w Betlejem, śpieszmy z weselem uciąć to Dzieciątko, małe pacholátko, które rodzi się w Betlejem.

Więc na pasterkę, więc na pasterkę do żłobu pośpieszmy; i z narodzenia, i z narodzenia Pana się ucieszymy. Cudowny żłobie, wielki Pan w Tobie, w szopie zrodzony, w żłób położony, przy nim pastuszkowie, ze wschodu Królowie. O Jezu, bądź pochwalony!

J. Jadczyk.

Pierwsza encyklika czyli odezwa Ojca Św. Pijusa Dziesiątego.

(Ciąg dalszy.)

Wielkiej więc, czcigodni bracia, trzeba staranności o to, aby duchowieństwo zaprawiać w świątobliwym pod każdym względem życiu. O to przedewszystkiem dbać należy. Dlatego najbardziej powinniście baczyć na ściśle według przepisów urządzenie i kierunek seminarjów, aby zarówno i nauką wzorową i świętością obyczajów celowały. Dla każdego z was niech seminarjum będzie ulubieńcem serca; nie pomijajcie niczego, co dla niego pożyteczne, jak sobór trydencki najtroskliwiej zalecił. Gdy zaś nadejdzie czas święcenia mających być kapłanami, nie zapominajcie o tém, co św. Paweł pisał do Tymoteusza: „Na nikogo nie kładź rąk pośpiesznie.” Jak najbaczniej trzeba zważać na to, że po większej części takimi będą wierni, jakimi będą ci, których na kapłanów przeznaczycie. Nie miejcież

względem na żadne korzyści osobiste; zważajcie jedynie na Boga, na Kościół, i na wieczne dobro dusz,—abyście nie byli „uczestnikami grzechów cudzych”, jak ostrzeżga Apostoł.

Nowo wyswięceni i wyszli z seminarjów kapłani niech nie pozostają też bez waszej opieki. Z duszy serca namawiamy was, często ich przypuszczajcie do waszych serc, które powinny płonąć ogniem niebieskim; zagzewajcie ich i zapalajcie do tego, aby tylko Boga i dobra dusz pożądali. My zaś, czcigodni bracia, będziemy nad tém jak najpilniej czuwali, żeby osoby duchowne nie wpadały w zasadki jakiejś nowej i zwodniczej nauki, w której niema śladu Chrystusa, i która fałszywemi a chytremi dowodzeniami stara się wprowadzać wyrozumowane lub napół wyrozumowane błędy, choć do ich wystzegania się już Apostoł upominał Tymoteusza, pisząc: „Strzeż tego, co ci powierzono; unikaj niezbożnych nowości i przeczenia ze strony tego, co fałszywie zowią nauką, którą niektórzy obiecując, odpadli od wiary.” Nie uważamy jednak przez to za mniej godnych pochwały tych z pomiędzy młodszych kapłanów, którzy pracują nad pożytecznymi naukami we wszelkich gałęziach wiedzy, aby się stać tém zdolniejszymi do bronienia prawdy i odpierania napaści nieprzyjaciół wiary. Nie możemy jednak zatajać, owszem, najgłośniej to wyznajemy, że zawsze będziemy oddawali pierwszeństwo tym, którzy, nie lekceważąc nauk duchownych i świeckich, najbardziej pracują nad potrzebami dusz, spełniając te obowiązki, które są odpowiedzialne dla kapłana o chwale Bożą gorliwego. „Mamy wielki smutek i wciąż boleje serce nasze”, gdy widzimy, że i do naszych czasów stosuje się skarga Jeremjazowa: „Dzieci prosily chleba, a nie bylo nikogo, ktoby im udzielil”. Nie brak bowiem między duchowieństwem takich, którzy, według swych upodobań, pracują nad zeczami raczej napozór, niżli w istocie pożytecznymi; niewielu zaś jest takich, którzyby, za przykładem Chrystusowym, stosowali do siebie słowa Proroka: „Duch Pański namaścił mię i posłał, abym ubogim opowiadał Ewangielję, uzdrawiał skruszone na sercu, zapowiadał więzniom wypuszczenie, a ślepym przejęzenie”. Skoro

jednak ludzie najwięcej się rządzą rozumem i wolą, to którzy nie wiedzieli, czci- godni bracia, że nauczanie religji jest najlepszą drogą do powrócenia rządów Bo- żych nad duszami ludzkiemi? Iluż bo to jest takich, co nienawidzą Chrystusa, brzydzą się Kościołem i Ewangelią—bar- dziej przez niewiadomość, aniżeli przez złość. O tych można powiedzieć: „Czego nie znają, temu bluźnią”. A to się spo- tyka nietylko u ludu i wśród najniższego tłumy, który z łatwością daje się wcią- gnąć na błędną drogę, ale i w stanach wykształconych, a nawet wśród takich, którzy nauką górują ponad innymi. Ztąd to u wielu osłabienie wiary. Gdyż nie- podobna przypuścić, aby wiara słabła ze wzrostem wiedzy; przeciwnie, pręcej ona upada wskutek ciemnoty; im też gdzie większa ciemnota, tym szersze bywa od- stępstwo od wiary. Dlatego to Chrystus zekł Apostołom: „Idźcie i nauczajcie wszy- stkie narody”.

Aby zaś ta powinność nauczania, jak również i badania naukowe wydały spo- dziewane owoce, i aby we wszystkich u- kształtowan był Chrystus, trzeba, bracia czciogodni, pamiętać o tém, że niema nic skuteczniejszego nad miłość. Złe jest lu- dzie się nadzieja, że sprawianiem przy- krości dusze zostaną nawrócone do Bo- ga; albowiem im surowiej gromić błę- dy, im gwałtowniej karcieć wady, tym większa może być raczej szkoda, niż po- żytek. Wprawdzie upominał Apostoł Ty- moteusza: „Kaz, proś, łaj”, dodawał jed- nak: „z wszelką cierpliwością”. Takiego też postępowania przykłady dał nam Chrystus. Oto czytamy, co mówił: „Pój- dzie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was pokrzepię”. Za „pracujących” zaś i „obciążonych” u- ważał nie innych, jeno tych, którzy wpadli w grzechy i błędy. Jakaż to w tym Bo- skim Nauczycielu była łaskawość! jaka łagodność! jaka litość względem wszyst- kich strapionych! Serce Jego odmalował wiernie Izajasz w tych słowach: „Dałem ducha mego nań; nie będzie przeczył ani wołał; tzciny nafamanój nie skruszy, ani lnu kuzącego się nie zagasi.” Ta zaś miłość cierpliwa i łaskawa ma się rozcią- gać nawet względem naszych nieprzyja- ciół i prześladowców. „Oni nam złozę- czą, a my im błogosławimy”, mówił o so- bie Paweł, „prześladowanie cierpimy, lecz wytrzymujemy cierpliwie”. Wydają się oni może gorszymi, niż są. Przez obcowanie z innymi ludźmi, wskutek uprzedzeń, cu- dzych rad i przykładów, a wreszcie skut- kiem źle doradzającej bojaźliwości przeszli na stronę bezbożnych: wola ich jednak nie jest jeszcze tak zepsuta, jak po sobie okazują. Dlategoż nie mamy mieć na- dziei, że płomień miłości chrześcijańskiej rozpędzi w tych duszach ciemności, a za- razem wniesie tam światłość Bożą i po- kój. Opóźni się może nieraz owoc na- szej pracy; miłość jednak nigdy nie bywa strudzona oczekiwaniem, gdyż wie, że Bóg nie za owoc pracy, ale za dobrą wolę, za szczerą dążność nagradza.

(Dokończenie nastąpi.)

Spółka włościan w Jedlni.

Z radością piszę znowu do Gazety Świą- tecznej, bo w niedługim czasie mogą nieść kochanym współbraciom drugą dobrą no- winę z naszej parafji. Trzy miesiące temu, poświęcił nam książę Biskup nowy kościół parafjalny, obecnie zaś błogosła- wił naszą pracę w nowopowstałej spółce

rolnej. Dawno już czytali i myśleli u nas ludzie o założeniu spółki; jeszcze zeszedł wiosny jeździli niekiedy do Miechowa przypatrzeć się, jak sobie radzą w Jutzen- ce; ale jakoś się nie klejiło, nie było zgo- dy. Niektórzy nie rozumieli pożytku ze spółki; inni buzyli ludzi niby z wielkie- go rozumu; inni wzdragali się, by śmie- chu na siebie nie ściągnąć,—i sprawa szła w odwłokę. Ale przecież zdrowy rozum wziął górę i kilku gospodarzy powiedzia- ło sobie:—Jeźmy na wystawę do Miecho- wa, a jeżeli się przekonamy, że prawdą jest, co piszą w gazetach o Jutzen- ce, to założmy spółkę chociażby mniejszą, byle zrobić pozątek.

Pojechaliśmy w pięciu. A że było jesz- ce kilku sąsiadów z naszej okolicy, więc trzymało się nas kupą z dziesięciu. Wi- dzieliśmy zboża Jutzenki, i żywnię kra- kowiaków, i samodziły, i pszczelnictwo, i maszyny rolnicze, a nadewszystko dużo braci z różnych stron kraju, i przekonali- śmy się, że choć idzie u nas nie ostatnio, przecież gdzieindziej, miejscami, jest jesz- ce lepiej, a to w części dzięki spółkom rolnym.

Po powrocie do domu zakzątnęliśmy się zwawo i w dniu 23 listopada założy- liśmy spółkę, podpisując umowę przed re- jentem w Radomiu. Wszystkich spółników jest 27, a czterech, co się jeszcze zgłosili, będzie przyjętych na ogólném zebraniu. Razem więc jest już nas 31. Każdy zło- żył po 20 rubli, więc mamy 620 rubli do obrotu.

Postanowiliśmy sprowadzić młocarnię konną z fabryki Wolskiego w Lublinie, na początek niedużą, jednokonną: kierał F, a maszynę H. Ma ona wymłacać do 6 kóp dziennie oziminy, a kosztuje blisko 150 rubli ze sprowadzeniem. Chociaż la- tosiego zbioru większą część ludzie już o- młócili, ale zawsze jeszcze na kilkanaście dni maszyna znajdzie robotę, to się dobrze opłaci, choćby po rublu brać za dzień ro- boty. Mamy też pomiędzy spółnikami jed- nego gospodarza, co za młodu ślusarki się uczył, to on będzie opiekunem mło- carni. Sprowadziliśmy też beczkę nafty i beczkę smaru, i zaraz to pomiędzy siebie spółnicy rozebrali bez żadnych sklepów i handlów. Będziemy mieli czystą, dobrą naftę i dobry smar, a taniiej, niż płacili- śmy w sklepikach żydowskich za byle ja- kie.

Ale to robimy tymczasem. Czujemy, że największa robota ruszy się z wiosną, gdy nastaną siewy jare. Tu najwięcej jest zamiarów, a z nich najważniejszy, żeby dobrze podzielić pola spółników według ich gatunku, i obsiać odpowiedniemi ziar- nem, bo bardzo nam się wyroziła zarów- no jazyzna jak ozimina. Myśli też za- rząd spółki sprowadzić uzonogo rolnika dla porady, a owies i jęczmień do siewu zakupić w Sobieszynie, albo gdzieindziej, był z nowego plonu.

Ludzie teraz dopiero geby, jak to mó- wią, pootwierali i radzą: jedni o popra- wieniu łąk, których tu dużo jest mszys- tych; drudzy o sztucznych nawozach, któ- rych dopiero dwóch czy trzech spółników używa; inni o sprowadzeniu wspólnego bu- haja i królewskiego ogiera, i o założeniu do spółki młeczarni, bo dziś z tą trochę masła, co się ją do Radomia w czwartki nosi, więcój jest straty czasu i bałamuc- twa, niż zysku. Są i tacy, co radzą popra- wić u nas tkactwo na takie, jak w Mie- chowie widzieli z lipnickich warsztatów. A najwięcej jest takich, co ciągną do za- łożenia sklepu, bo chociaż u nas jest tylko jeden sklepik żydowski, a drugi chze- ścijański, przecież widzimy, że handel daje duże zyski. Sam żyd powiada, że spze-

daje teraz trzy beczki nafty na tydzień, a zysku ma z beczki 10 rubli. Zysk jest wi- doczny. Ale jeden dobry sąsiad bardzo nas odwoźi od zakładania sklepu i tłómaczy, że niemożna zaczynać za ostro, by z dzie- sięciu srok trzymanych, wszystkich nie wy- puścić. Przymem powiada, że lepiej mieć większy zysk z roli, to wtedy jakiś tam grosz przepłacony przy kupnie w sklepiku nikogo nie zuboży.—Święta ziemia,—mó- wi,—to grunt i cała siła gospodarza rol- nego, to jest to samo, co warsztat dla ziemiełnika.—To też tymczasem pewnie się zakzątniemy koło największych bra- ków w gospodarce; ale jak widać z ochoty gospodarzy, pokoleji dojdzie się do wszystkiego: i do nawozów sztucznych, i do buhaja, do ogiera, a może i do tkac- twa, i do kapeli wioskowej kościelnej, i do spólnej młeczarni z maślarnią, a naj- pręcej, bo to najłatwiej, do założenia sklepu.

Teraz należy nam tylko pracować zgodnie a rzetelnie, by zaskarbić sobie błogosławieństwo Boskie i uznanie ludz- kie. Co potem uradzimy i jak się sprawy spółki obróca, o tém bardzo chętnie do Gazety napiszę. A teraz tylko życzę in- nym braciom—rolnikom, by się spólnemi siłami do poprawy swych gospodarstw przykładali. Choć nasza spółka dopiero początkuje i zysku z niej jeszcze nie czu- jemy, to przecież widać, jaki pożytek przyniosła,—bo oto ludzie, zamiast spać, albo innych obmawiać, do kupy się zbie- rają i radzą o rzeczach pożytecznych, no i przyjemnych nawet, bo przy takich rozmow- ach czas mile idzie.

Na zakończenie podaje, że nasza spółka rolna włościańska w Jedlni nazywać się będzie „Prawda”, a rządcami w niej będą na rok najbliższy: pan Walery Szmidel, podiełny z Kościuszkowa, gospodarz Łu- kasz Rojek z Jedlni, i gospodarz Franciszek Gzywacz ze Słupicy, zastępcami zaś ich gospodarze Adam Warchoł z Jedlni i Grzegorz Warchoł ze Żdżar; a skarbnikiem gospodarz Ignacy Siczek ze Żdżar i jego zastępca gospodarz Piotr Kwiatkowski ze Słupicy.

Marceli Bój.

NOWINY.

Dom dla starców i niedołągów we Włosto- wie.

Wszędzie po wsiach i miastach jest spo- ro ludzi starych i różnych kalek, niezdol- nych do pracy, nie mogących za kawałek chleba zapracować. Jedni z nich muszą zebrać po domach i pod kościołami, inni znów muszą oglądać się na pomoc swych rodzin. A pomoc ta nieraz bywa, niesty- ty, tak gorzka, że niejednen starzec, co dzieci wyposażył, umyka od nich w świat, bo woli zebrać u obcych, niż od włas- nych dzieci i we własnym domu cierpieć. Bo dużo jeszcze na świecie jest niewdzię- cnych, złych ludzi. Wielu jest takich, co choć niby chrześcijanami się nazywają, ale naprawdę djabłu służą, starych ojców nie- tylko nie miłują i nie czczą, ale poniewie- rają nimi, żałują im nawet łyżki strawy i kąta ciepłego w izbie. Dla takich sta- rych a nieszczęśliwych ludzi i dla kalek nie mogących na siebie zapracować win- ny być wszędzie budowane i urządane sta- raniem miast, gmin, lub gromad przytuł- ki, w których by mogli znaleźć opiekę i choć jakie-takie utrzymanie do śmierci. (O potrzebie ich i jak powinny być naj- mniejszym kosztem urządane i utrzymy- wane, było już kilka razy w Gazecie Świątecznej, a szczególniej w 886-ój.)

Taki właśnie przytułek dla starców i kalek otwarto dnia 6 listopada we wsi Włostowie między Sandomierzem a Opatowem. Powstał on jednak nie staraniem gminy, lub jakiejś gromady, ale z zapisu jednego człowieka i z ofiary wnuka zapisodawcy. S. p. Michał-Rajmund Karski, zmarły w roku 1854, dziecie kilkunastu wsi pańszczyźnianych pomiędzy Sandomierzem a Kunowem, zapisał w testamentcie 15 tysięcy rubli na wybudowanie przytułku dla starców i kalek pochodzących ze wsi, które do niego należały, a mianowicie: z Włostowa, Kurowa, Sternalic, Słopotowa, Łownicy, Małżyna, Tudorowa, Opatowa, Kosowic i Szwarzowic. Po śmierci Karskiego pieniądze te zostały złożone w banku rządowym, a w roku 1870 opiekę i zarząd nad tym kapitałem powierzone zebraniom gminy Lipnika, do której należy większa część wsi w zapisie wymienionych. Spadkobiercy Michała Karskiego kilkakrotnie usiłowali wolę jego wypełnić i przytułek zbudować, ale zawsze stawiali temu na przeszkodzie gminiaci lipniccy. Obawiali się oni, że będą musieli do przytułku z własnej kieszeni dopłacać, jeżeli odsetki od pieniędzy znajdujących się w banku na utrzymanie go nie wystarczą. I oto zapisane pieniądze czterdziści kilka lat procentowały w banku. Przez ten czas urosły z odsetków do 87 tysięcy rubli.

Tego mogło już wystarczyć na wszelkie potrzeby przytułku, ale gminiaci wciąż obawiali się przystać na jego budowę. Dopiero dzięki usilnym staraniom wnuka ofiarodawcy a właściciela Włostowa, Michała Karskiego, i jego żony, s. p. Julji, gminiaci zaczęli przekonywać się, że przytułek będzie wielkiem dobrodziejstwem dla okolicy i że nareszcie trzeba go zbudować. A gdy część gospodarzy jeszcze się wahała, Michał Karski złożył na piśmie zobowiązanie, że w razie, jeżeli odsetki od pieniędzy znajdujących się w banku nie wystarczą, to on sam lub jego następcy na utrzymanie przytułku dopłacać będą. Nadto pan Karski ofiarował pod przytułek 2 i pół morga ziemi. Wtedy nareszcie zebranie gminne uchwaliło rozpocząć budowę.

Trwała ona dwa lata. W końcu roku 1901 budynek był już wykonany i zagospodarowany. Miano go oddać na ogólny użytek w roku 1902. Ale stanęła temu na przeszkodzie ciężka choroba głównej kierowniczki zakładu, Julji Karskiej, która też nie doczekawszy się jego otwarcia, zmarła. Dom jest murowany, piętrowy. W widnych piwnicach urządzono kuchnię, pralnię, spiżarnię i łazienkę. Na dole znajduje się duża izba dla kobiet, które do przytułku przyjęto, oraz jadalnia, kuchenka podręczna, i izba, w której wszystkim z okolicy udzielana jest darmo pomoc felczerska. Na piętrze znajduje się duża izba dla mężczyzn, osobny pokój dla chorych, kancelarja zakładu, mieszkanie gospodyni i felczera. Prócz budynku głównego znajdują się przy nim odpowiednie zabudowania gospodarskie i ochrona dla dzieci wiejskich urządzona kosztem i staraniem s. p. Julji Karskiej. Na budowę i urządzenie przytułku wydano blisko 27 tysięcy rubli; od pozostałych zaś pieniądze bank będzie wypłacał corok 2500 rubli odsetków. Zarząd zakładu, składający się z właściciela majątku Włostowa, wójta gminy Lipnika i dwóch sołtysów, ma nadzieję, że pieniędzy tych, po opłaceniu gospodyni i felczera, wystarczy na utrzymanie w przytułku 18-tu osób niezdolnych do pracy.

Z Mzygłodu w stronach częstochowskich piszą do nas:

„Serdeczne podziękowanie składamy czytelnikom Gazety Świątecznej za przysłane przez redakcję ofiary na tutejszych pogorzalców. Przyjęliśmy ten datek z uczuciem wdzięczności, powtarzając w duszy staropolskie nasze „Bóg zapłać”. Ciężka dola tych pogorzalców! W jednej chwili z majątnych obywateli miasta stać się zebrałkami i wyciągać ręce po kawałek chleba, to smutne i bolesne bardzo. W nieśczęści naszym tę mamy pociechę, że są dobzy ludzie, co nam pośpieszyli z jakąś narazie pomocą. Do wielkich dobrodziejów naszych w nieśczęściu zaliczamy przedewszystkiem szanownego księdza Jana Zmarzlika, proboszcza w Lelowie, w naszym Mzygłodzi urodzonego. Kapłan ten obchodził wioski i zbierał na pogorzalców jałmużnę w snopkach, słomie, lub pasy dla bydła. Parafja Iząde chętnie spieszyła dla takiego jałmużnika z ofiarą. Lud wiejski złożył osiem kop zboża, które mzygłodzianie ze łzami wdzięczności zabrali. Nie mamy słów na wyrażenie naszej wdzięczności za tak wielką cnotę kapłańską. Niechże Pan Jezus da jak najwięcej takich kapłanów Kościołowi świętemu, a wtedy jakoś lżejsze będzie życie nasze na tej biednej ziemi. Dla ludu po parafjach kapłan jest najbliższym przyjacielem i przewodnikiem do nieba. To też ludzie otaczają nieklamana ciężką przywiązaniem i wdzięcznością bez granic dobrych duszpasterzy. Parafja Mzygłódka zżądzeniem Opatzności Bożej od lat dwustu zgórą miała proboszczów według serca Bożego, którzy wypielęgnowali całe pokolenia w wierze św. i miłości Bożej, jaka po dziś dzień gorzeje w sercach wiernych. Były tu święte postacie, o których wspominają stare dzieje kościoła tutejszego. Księża proboszczowie: Praczlewicz, Węgrzynowski, Lachowicz, Zaborski i inni wszystko poświęcali, aby być kapłanami pełnymi ducha Bożego. Oni to wspierali mieszkańców Mzygłodu, kształcili ich dziatki posyłając do Krakowa na nauki, zakładali ochronki, szkółki, bogacili świątynię. Dziś miasteczko Mzygłód wskutek częstych pożarów zubożało, a cała ludność pracuje w kopalniach, fabrykach, zakładach i warsztatach w Zawierciu, Porębie, Myszkowie, Strzemięszycach i t. d. Pracują ciężko, a często ten zarobek fabryczny nie wystarcza im na potrzeby, które coraz bardziej się mnożą wśród młodego pokolenia.—Może Pan Bóg kiedyś zmieni tutejszą biedę na pomyslność, bo Mzygłód ma przed sobą przyszłość. Wszak tu w ziemi znajdują się pokłady węgla, rudy, ołowiu. Trzeba tylko ludzi odważnych i zasobnych, aby je wydobywać. Zanim jednak to nastąpi, wiele czasu upłynie. Parafja Mzygłódka należy do większych w diecezji kieleckiej; ma do 6000 dusz. Obsługiwana jest przez dwóch kapłanów. Kościół, wybudowany w roku 1638, jest dziś za mały. Zczasem trzeba będzie go rozszerzyć, aby mógł pomieścić ten lud fabryczny tak licznie gromadzący się w niedziele i święta na nabożeństwa. Oby tylko Pan Jezus pobłogosławił tym dobrym chęciom naszym!

Ksiądz Romuald Wójcik, proboszcz.”

Straż ogniowa w Iłży. Iłża, miasto powiatowe w gubernji radomskiej, nie miała dotąd straży ogniowej. Niektórzy mieszkańcy, a zwłaszcza pan Gartner, sędzia gminny z wyborów, od kilku już lat nawoływali mieszczan do utworzenia straży ogniowej ochotniczej, ale namowy ich były bezskuteczne. Dopiero w tym roku, kiedy pożar pochłonął w Iłży zabudowania

27-miu gospodarzy i całemu miastu strachu napędził, przekonano się, że z ogniem nie żarty, gdy niema ludzi wprawionych do gaszenia i ratowania, ani narzędzi odpowiednich, ani umiejętnego dowódcy, któregooby każdy słuchał. Wtedy też dopiero uznano potrzebę założenia straży ogniowej. A gdy jeszcze pan Walery Kniorski ze Starosiedlic ofiarował na pierwsze wydatki tysiąc rubli, zakrzętnięto się ochoczko około tej sprawy. Niezadługo też ustawa towarzystwa straży ogniowej ochotniczej została dla Iłży zatwierdzona, i w dniu 29 listopada odbyło się pierwsze ogólne zgromadzenie rzeczywistych jego członków. Na zebraniu tém powzięto kilka uchwał potrzebnych dla uzupełnienia ustawy i obrano zarząd towarzystwa, oraz naczelnika straży ogniowej, jego pomocnika i zarządzającego jej narzędziami i całym mieniem, czyli gospodarza. Na członka towarzystwa może zapisać się prawie każdy, bo składka jest niewielka. Członek rzeczywisty płaci tylko 2 ruble rocznie; kto zaś da od razu 25 rubli, ten na całe życie, nie płacąc już żadnych składek, zostaje członkiem straży ogniowej. Pewnie też są jeszcze członkowie czynni, którzy mogą żadnej składki nie płacić, ale obowiązani są w razie pożaru spieszyć się stawać do ratunku.

W okolicy Ciechanowa w gubernji płockiej zawiązała się dnia 26-go listopada spółka gospodarska. Należy do niej dziewięciu mniejszych gospodarzy ze wsi: Klic, Modelki, Krośnic i Pniewa, oraz właściciel majątku Klic, Michał Bojanowski. Każdy ze spółników złożył po 20 rubli, a pan Bojanowski dał 100 r., więc spółka ma teraz do rozporządzenia 280 r. Zarząd spółki tworzą wybrani przez towarzyszy: M. Bojanowski z Klic, Maciej Pekus, właściciel z Modelki, i Franciszek Smoleński z Pniewa. Skarbnikiem jest właściciel Feliks Pawłowski z Klic. Uząd spółki mieści się w Klicach. Za przykładem tej pierwszej, o ile wiemy, spółki w tamtych stronach, mają się utworzyć niezadługo w okolicy Ciechanowa jeszcze dwie podobne.

Na Woli, przedmieściu warszawskim, odbyło się we wtorek 8-go grudnia poświęcenie i otwarcie obszernego kościoła Św. Stanisława, murowanego już od kilku lat. W parafji wolskiej mieszka około 62 tysięcy ludności katolickiej, która dotąd miała jedną tylko niedużą świątynię.

W Przedczu, miasteczku kujawskim na zachodzie gubernji warszawskiej, ma być wymurowany kościół, na co pozwolenie już otrzymano. Koszt budowy obliczono na 45 i pół tysięcy rubli, które mają być zebrane w ciągu trzech lat ze składek parafjalnych.

Z parafji Oleksowa pod Gniewozowem nad Wisłą w gub. radomskiej piszą do nas: „Ciężką żalobą okryła parafję naszą śmierć księdza kanonika Feliksa Widuchowskiego, który osiemnaście lat nią zarządzał z młodzieńczą gorliwością, nie bacząc na swój wiek podeszły i słabe zdrowie. Choroba serca, na którą zapadł przed paru laty, w ostatnich czasach raptownie się posunęła i po dwóch tygodniach cierpienia przecięła życie. Opatzony Św. Sakramentami, zmarł dnia 5-go grudnia, mając lat 72. Żalobni parafjanie schodzili się tłumnie żegnać swego przewodnika, a w dniu 7 grudnia przy udziale 6 księży odprowadzili zwłoki do kościoła. Na drugi dzień od rana odprawiali się mze św. za spokój duszy zmarłego. Sumę żalobną odprawił ksiądz Ostrach, proboszcz z Łągowa, a ksiądz Radomski, proboszcz z Gó-

ry Puławskiej, wśród płaczu i jęku osieroconych parafjan wypowiedział mowę pogrzebową. Na cmentarz odrowadziło zwłoki 15 kapłanów z księdzem Kosińskim, proboszczem z Sieciechowa, na czele. Za trumną szło kilka tysięcy pobożnych. Nad grobem w serdecznych słowach pożegnał nieboszczyka od kapłanów i w imieniu parafjan ksiądz Puławski, proboszcz z Jedni. Spoczywaj w pokoju, zacny kapłanie! Niech Bóg wszechmocny, który powołał cię do siebie, nagrodi twój żywot bogobojny!

L. S.

Z pod Olkusa w gubernji kieleckiej.

Żona gospodaza Marchewki we wsi Hutkach kopiąc dnia 13-go października ziemniaki, rozpałała dla zabawy dzieciom ognisko w polu. Dzieci bawiły się i grzały przy ogniu. Wtém na córce Marchewczyzny zapaliła się sukienka. Dziewczynka bojąc się kary od matki uciekła w krzaki. Tam dopiero odzież na niej buchnęła płomieniem. Nim ludzie na krzyk jej przybiegli, nieszczęśliwa tak się spaliła, że kiszki z niej wychodziły. Żyła jeszcze cztery dni w ciężkich męczarniach.

W fabryce płukania galmanu w Bolesławiu robotnik Józef Wyżychowski smarując maszynę dostał się przez nieostrożność pod pas. Kolo go zgmiotło, zgruchotało i poroznosiło tak, że cząstki ciała i wnetżności zbierano niemal po całej izbie. Na pogrzebie zaśpiewała mu drużyna śpiewacza, bo do niej należał. Biedny! w przeddzień wypadku służył w kościele pierwszą swoją zapowiedź.

Dwaj gospodaze z Chechła, Guzik i Sękała, zawieźli do drugiej wioski, o jaką milę, słomę. Wracając chcieli po drodze wziąć sosnę z lasu. Ale spuszczać ją przez nieuwagę przywalili konia Sękali. Konisko chociaż mocno potłuczone, wlekło jeszcze dzewo ze trzy wiorsty, aż w zrece Przemyszy stanęło i nie mogło już ani kroku naprzód postąpić. Gospodaze wywlekli konia, zaciągnęli do kupy ściółki i po brzuch w nią zakopali; a że było zimno, dla ogrzania konia rozpalili wpobliżu ogień. Sami zaś ruszyli dalej z dzewem. Zawłókszy je do domu, wracają po konia, a tu zamiast konia,—pieczeń... Ogień dostał się do ściółki i nieszczęśliwe konisko żywcem się upiekło.

Józef G.

Wypadek z bronią. Marcin Szczepaniak z Piekar pod Dobrą w gubernji kaliskiej odprowadzał niedawno w niedzielę znajomego, który go odwiedził. Wracając wieczorem do domu wstąpił po drodze do ojca swego we wsi Dąbrowicy. Miał z sobą sztelbę, ale wchodząc do domu ojca włożył ją w kupkę chróstu przed sienią. Przywitał się z ojcem i z domownikami, posiedział czas jakiś, a potem mówi:—Trzeba tę sztelbę przynieść do chałupy, żeby jej czasem kto nie ukradł.—Wszedł, ujął sztelbę za koniec lufy i ciągnie. Wtém kurek zawadził o gałązkę, sztelba wypaliła, i nabój trafił go w bok. Ojciec myślał, że syn na wiwat wystąpił. Wtém słyży jakiś głuchy jęk. Otwiera drzwi, a tu Marcin leży przed sienią i słabym głosem mówi:—Ojciec! zastzeliłem się... ratujcie!—Ojciec rozrywa na nim szmaty, aby chociaż ręką zatrzymać cokolwiek krwi, która aż w górę chlustała. Matka pośpieszyła też na ratunek, ale gdy zobaczyła syna wijącego się w boleściach, padła obok niego na ziemię zemdlona. Ojciec nie wie, kogo ratować, syna czy żonę. Zaczął krzyżeć. Nadbiegła córka, pośpieszyło też i więcej ludzi. Wnieśli napół tylko żywego Marcina do domu, i wnet pośpieszyli jedni do Dobrej po felczera, drudzy po księdza do Boleszczyna. Przy-

jechał felczera, obejrzał rannego i powiedział, że mu już nikt nie poradzi, bo cały nabój wszedł we wnetżności. Przyjechał też wkrótce i ksiądz, wyspowiadał rannego i włożył na niego oleje św., a nazajutrz rano przyjechał z Panem Jezusem. Marcin żył jeszcze dwa dni, mając w swych ciężkich boleściach tę wielką pociechę, że umiera opatrzony Św. Sakramentami. Pozostawił żonę i troje drobnych sierot.

J. J.

W mieście Warcie, w gubernji kaliskiej, za zbliżeniem się zimy daje się uczuć brak dzewa na opał. Handlarze każą sobie za nie drogo płacić, bo z powodu mokrego lata nie nasuszono torfu. Najwięcej jednak używają tu na opał węgla kamiennego, który o wiele taniej kosztuje niż drzewo. Żywina na zimę spadła w cenę, bo nie każdy gospodarz ma dostateczny zapas paszy. Świnie bardzo tanie, wieprzowina jednak niewiadomo dlaczego trzyma się w cenie, i trzeba płacić aż po 13 kopiejek za funt, a więc drożej niż w większych sąsiednich miastach. Zarząd miasta nie troszczy się jakoś o to, żeby ceny mięsa ustanawiać stosownie do cen targowych żywny.

Droga w Warcie, uszkodzona od lipcowej powodzi, i bruki w mieście zostały już naprawione pod kierunkiem ławnika Skarżyńskiego, który nie szczędził trudu, aby doprowadzić wszystko prędko do należytego porządku, za co mieszkańcy miasta są mu bardzo wdzięczni. Jan Regulus.

W rzymskich Katakumbach

Świętej Pryscylly.

(Ciąg dalszy.)

Chodnik podziemny, którym szliśmy, skręca nagle w lewo, i tu śpiew, który zdala dolatywał, bucha na nas potężną falą. Przy świetle płomyczków migoczących tam gdzieś w głębi widzimy mnóstwo głów skupionych. Korytarz rozszerza się i tworzy izbę, w której mrocznych kątach otwierają się, niby czarne czeluście, inne znowu korytarze. Izba jest pełna ludzi trzymających w rękach zapalone świeczki, których płomyki chwieją się to słabiej, to silniej, w miarę jak śpiew cichnie lub z większą mocą z piersi wybucha. Prócz tego palą się też świece we wnękach po ścianach. Zapalają też światło na ołtarzu, znać na ten raz na środku izby ustawionym. Gasimy stoczki, bo i bez nich widno już teraz w podziemiu. Odzywa się dzwonek i do ołtarza zbliża się kapłan. Rozpoczyna się msza święta.

I oto obijają się o ciemne sklepienie wyrazy, które tu niegdyś przesładowani kapłani wobec przesładowanych wyznawców wymawiali. „Osądź mię, Boże, i rozeczaj sprawę moją; od narodu nieswiętego, od człowieka niesprawiedliwego wyrwij mię. Ty jesteś Bóg, moc moja: czemuż się nie odzucisz? Czemu smutny chodzę, gdy mię trapi nieprzyjaciel? Wyślij światłość Twą i prawdę...” I zdaje się, że z poza ciemnych załomów ścian, z tych wnęk nad nami i za plecami naszymi wtóruje tym słowom tajemniczy szept tych wszystkich, którzy tu niegdyś oddawali Bogu do rozsądzenia świętą sprawę swoją, i skarżyli Mu się na ucisk, i błagali o wyrwanie z rąk pogańskich przesładowców.

Głębokie, nieopisane wrażenie sprawia ta Msza święta w tém świętym podziemiu. Bracie! jeśliś osłabł w wieże, jeśliś wyziębł duszę i zaniedbał pacierza, którego cię matka nauczyła, o! czemuż nie był tu z nami w ową chwilę! W duszy twój był-

by się stał cud: ożyłaby, odrodiłaby się; ukłękawszy niedowiarkiem, powstałbyś wierzącym i szczęśliwym.

Msza ma się ku końcowi. Nagle głos jakiś rozpoczyna nową pieśń. I natychmiast z głosem tym łączy się sto, dwieście innych; ze wszystkich piersi wybucha z niepowstrzymaną siłą ta nowa pieśń — zwycięzka pieśń zmartwychwstania „Wesoły nam dziś dzień nastał”. Od wieków może, może od czasu przesładowania chrześcijan, nie rozbrzmiewał w tym przybytku zmarłych okrzyk „Aleluja!” głoszący zwycięstwo nad śmiercią. Teraz brzmi potężnie i przenika w ciemne głębie chodników, odbijając się jakby głuchym odgłosem gzmotu wśród opustoszałych grobów męczenników. Jeszcze dwukrotne potężne „Aleluja! aleluja!”. Zabrzmiało, potoczyło się wgiąb, w dal,—i uciło.

Ksiądz Suzyński przemawia od ołtarza. Jest widocznie wzruszony. Mowa, zwykle dotychczas potoczyła się z ust jego płynąca, teraz rwie się, brak mu wyrazów. Najpierw zaznacza, jak dobrze pieśń dopiero co prześpiewana wiąże się z myślami i wspomnieniami budzącymi się mimowoli w katakumbach. Chrystus spoczywał trzy dni w grobie; Kościół był przez trzy wieki jakby pogrzebany w katakumbach. Pieśń, którąśmy śpiewali, głosząca zmartwychwstanie Chrystusa, przypomina też nam dzisiaj zmartwychwstanie i zwycięstwo Kościoła, który na wzór swego Boskiego Założyciela o własnej mocy wstał z grobu pełen potęgi i chwwały, i, jak On, króluje i królować będzie nieśmiertelnie. Potem mówca przedstawia dzieje katakumb. Wkońcu zaś objaśnia znaczenie wyobrażeń i znaków, które chrześcijanie kreślili na kamieniach grobowych, a które dotychczas w wielu miejscach się tu przechowały. Najczęściej spotyka się wyobrażenie ryby, a to dlatego, że grecki wyraz „ichtis”, ryba, składał się z tych samych głosek, od których rozpoczynają się również po grecku wyrazy: Jezus Chrystus, Boga Syn, Zbawiciel. Na grobach męczenników, których krew została przełana, umieszczano we wnęce naczyńka szklane ze krwią i kreślono także rysunek; na grobach chrześcijan w inny sposób umieszczano przedstawiano liść palmy.

Przemowa skończona. Przechodzimy do innej izby podziemnej, zwaną kaplicą grecką dlatego, że na sklepieniu jej są dwa napisy skreślone po grecku. Jest to izba nieduża, sklepiona, ale niska, ze starożytnymi, zblakłymi malowidłami na ścianach i na sklepieniu. Malowidła te pochodzą z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Ręka jakiegoś wyznawcy kreśliła tu w ciemnicy przy blasku kaganka to, co jego duszę umacniało i napełniało nadzieją, i co chciał innym przedstawić przed oczyma, jako przypomnienia obietnic Chrystusowych, jako umocnienie na walkę i zadatek zwycięstwa. Oto widzimy postać Mojżesza. Prawodawca ten i oswobodziciel Żydów z niewoli był jakby zapowiedzią, wyobrażeniem Chrystusa, prawodawcy i oswobodziciela całej ludzkości. Malaz właśnie nakreślił go tu, aby przypominał wiernym Tego, który im prawo swe zostawił i z niewoli gzedzu wyswobodził. Dalej widać Zuzannę między sędziami; jej postać przypominała przesładowanym, że chociaż Bóg zsyła próby na niewinnych, jednak nie wypuszcza ich ze swój opieki i daje im wkońcu zwycięstwo. W inném miejscu przedstawił malaz hołd Trzech Króli kłaniających się Dzieciątku, zapewne dla wyrażenia nadziei, że przyjdzie czas, kiedy monarchowie poznają prawdziwego Boga i ukożą się przed Nim. A tam dalej wyobrażona jest wieczna Pańska: Jezus Chry-

stus ustanawia Sakrament Swego Ciała i Krwi, ten sam, którym wierni zgromadzący się tu mieli się zasilić, z którego mieli zaczerpnąć tę moc, jakiej trzeba im było i na życie wśród prześladowań, i na straszną godzinę męczarni i śmierci.

Z kaplicy greckiej wychodzimy znów na ciasny korytarz. Przewodnik idzie naprzód ze światłem, a za nim w milczeniu posuwa się długi sznur ludzi. Gdzieś gdzie migają płomyki, bo wielu pozapalało znów swe stoczki.

Znowu izba, nieduża, ale wyższa od innych. W jednym rogu są schody o jakichś kilkunastu stopniach, widocznie w nowszych już czasach usządzone. Na schodach tych u góry stoi książę Suzyński ze świecą w ręku; pokazuje coś na ścianie i objaśnia. Pielgrzymi zbliżają się, a potem kolejno ustępując innym zagłębiają się dalej w podziemia pod przewodnictwem paru kleryków od Zmartwychwstańców. Zkoleji wstępujemy i my na schody. Na ścianie jest niewielkie, czerniałe, dość jednak wyraźne malowidło: Matka Boska trzyma na ręku Dzieciątka, a przed nią prorok wskazuje gwiazdę na niebie. Obrazek ten, jak zapewniają znawcy, pochodzi z drugiego wieku chrześcijaństwa, to jest namalowany został w sto zgórą lat po narodzeniu Chrystusa. Jest to pamiątka niezmiernie ważna dla nas, katolików, świadczy bowiem o tym, że Kościół św. od początku oddawał należną cześć Najświętszej Maryji Pannie i że najdawniejsi wyznawcy i męczennicy pod Jej obronę się uciekali. Ileż oczu zwracało się tu ku Jej wizerunkowi z miłością i nadzieją, ile łez, kojących łez wiary tu przed Nią wylano! Ile milionów ludzi potem przez długi szereg wieków przesunęło się na ziemi i zeszło do grobu wielbiąc Jej Imię, lub zuchwale mu bluźniąc, a ten mały, nikły obrazek przetrwał dotąd, i dziś, jak niegdyś, serca otuchą napelnia i do miłości zagrzewa.

Bądź pozdrowiona Maryjo! — szepcą u sta, a głowy kornie się pochylają.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Świąteczni gazeciarze.

Na bezdrożu.

Powieść odznaczona na XII konkursie.

(Z uproszczeniami w redakcji.)

(Ciąg dalszy.)

Kompanijka.

Było święto.

Wszyscy ciężko pracujący odczuwają dobrodziejstwo święta, bo niedziela, to rzecz częsta, zwykła, a święto to jakby przyjemna niespodzianka. To też ludzie zwykle wtedy ubierają się staranniej, nawet staranniej się myją i czeszą, choć umycie się i czesanie powinno być rzeczą zwykłą jak chleb powszedni. No, ale u nas tak nie jest. Może się to kiedy zmieni, oby jak najprędzej!

Mieczek wprawdzie mył się i czesał bardzo starannie zawsze, bo matka przyzwyczajała go do tego od dzieciństwa; ale w święto zawsze się ładniej ubierał, w czystą koszulę, w czyste i dość nowe spodnie, krawat, kamizelkę i surdut z przypiętym do klapy czerwonym kwiatkiem, a wychodząc na ulicę kładł na głowę nowiutki kapelusz. Sam wyglądał ładnie i pociągał ku sobie oczy niejednej ze spotykanych dziewcząt.

W ten dzień świąteczny, który teraz mamy na myśli, Mieczek zjadł obiad z matką i poszedł do tak zwanego parku praskiego. Jest to niby laszek, czy też ogród

z dzikimi drzewami zasadzonymi przed laty czterdziestu na brzegu Wisły, od strony Pragi, naprzeciwko Warszawy. Mieczka tam tak dziś coś ciągnęło, tak tam było świeżo, zielono, miło. Szedł, wesoło poświstując sobie, gdy nagle ktoś go po ramieniu udeżył.

— Mieczek! — krzyknął mu nad uchem jakiś wysoki chłopak z orlim nosem i czarnymi oczyma.

Mieczek spojrział. Po tym nosie i tych oczach wszędzieby Wacka poznał. Tak, to był Wacek, a zaraz za nim szedł Maniek.

— Kopa lat! — wołali chłopcy, — kopę lat nie widzieliśmy się.

Podali sobie ręce i głośno pocałunki aż się rozległy.

Słońce wiosenne jasno oświecało tych trzech chłopców. Mieczek, to był obraz zdrowia i wesołości. I tamci dwaj również młodzi, ładni, rośli; ale twarze ich były jakby przedwcześnie postarzałe, postawa trocha pochylona, a w oczach nie było tej swobody, jaka jaśniała w spojrzeniu Mieczka.

Przyglądali się sobie wzajemnie z ciekawością.

— Szczęśliwy wypadek! — mówi Maniek.

— Choć późno, — dodał Wacek.

— Tyle lat minęło, a myśmy się nigdzie nie spotkali, to dziwne! — rzekł Mieczek.

Maniek zaśmiał się:

— Dziwne? Wcale nie dziw! Matka twoja nie chciała, żebyś się od nas psuł, i tak to umyślnie usządziła.

— Teraz już bezpieczny, nie zepsujemy ciebie, — rzekł podrzywając Wacek.

— Ale nauczyły możemy ciebie niejednego, — zauważył Maniek.

— Trzeba oblać to nasze szczęśliwe spotkanie, — mówi Wacek.

— Wiesz? — zawołał Maniek, — tu blisko jest restauracyjka fajna! Jaka tam dziewczyna usługuje!

I mlasnął językiem.

Mieczek zacerwienił się. Nigdy on dotąd nie chodził do szynków. Miał parę domów przywoitych znajomych, u których bywał. Tam były wprawdzie dziewczęta, panienci, ale tylko takie, które szacunek wzbudzały. Innych kobiet nie znał. Matkę ccił jak świętą. Więc zdawało mu się, że Wacek i Maniek mówiący o kobiecie z lekceważeniem, ubliżają jego matce.

Chłopcy spostzegli na jego twarzy rumieniec.

— Dalibóg! dziewczyna! — wykrzyknął Wacek.

— Czerwieni się, jak mu o czym dobrém mówią!... A gdzieś ty się taki uchował?

Spostzegłszy jednak, że Mieczek się nie śmieje, Wacek zawołał:

— No, daj pyska i choź! A może nie masz fajgli? (Tak „łobuzy” warszawskie nazywają pieniądze.)

— Mam parę rubli. Owszem, pójdę z wami, — mówi Mieczek, ale dość niechętnie, bo przez głowę przeszła mu myśl, coby na to mama powiedziała. Wstydił się jednak z tém zdradzić przed towarzyszami.

Weszli do pobliskiej bawarji. Ściśnięta w pasie, a uróżowana na twarzy dziewczyna, w fartusku, z odkrytymi po łokcie rękami, spotkała ich zalotnym uśmiechem, obzuczając ciekawym spojzeniem Mieczka. Widząc, że patrzy on na jej minki zdziwiony, dygnęła, a robiąc poważną minę zapytała.

— Czem panom mogę służyć?

— Najpierw buzią, — zawołał Wacek chwytając ją za rękę.

— Pamię Wacławie, cóż to znowu za poufałość! — wołała niby się broniąc.

— Nie udawaj, nie udawaj, bo się znamy, a ten pan też się zapozna z tobą, — śmieje się Wacek, a zwracając się do towarzysza mówi: — No, Mieczek! cmoknij! Jedzenie będzie lepsze, buzia niczego.

I jakby dla przykładu sam głośno cmoknął.

— Ach! — krzyknęła piskliwym głosem i uciekła. Po chwili jednak wróciła z zapytaniem, co ma podać do jedzenia i picia, a z pod oka zerkając na Mieczka. Po jego minie było widać, że mu takie żarty i obyczaje, jakie tu spotyka, nie sprawiają uciechy, jeno z odrazą na to patrzy.

Poczęstunek zamawiali nowospotkani przyjaciele.

Napito się wódeczki, przekazano czémś. Potem przyszło na stół piwo. Przytém gawędy, żarciki. Później druga kolejka z kieliskami, po drugiej tzećcia... I ani się spostzegli, jak wieczór zaczął zapadać. W bawarji zapalono światła, a na dwozu księżyc ślicznie oświecił ziemię.

Mieczek nie widział piękności nieba i ziemi w tém oświetleniu, nie widział, jaki jest wieczór, jaka pogoda. Kilka kieliszków i kufelków, do których nie był przyzwyczajony, odużyły go zupełnie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co się z nim działo. Koledy dolewali mu, dziewczyna kręciła się wciąż koło nich, nachylała się nad nim tak blisko, a oczy jej tak świeciły... Sam nie wiedział, jak się to stało, że wyciągnął rękę, objął ją i cmoknął. Dziewczyna krzyknęła, a towarzysze z wielką niby uciechy klasnęli dłońmi.

— Widzisz, nie taki djabeł straszny, a zwłaszcza taka djabliczka! — zawołał któryś.

Ale Mieczek zawstydił się sam siebie. Wstał od stołu i mówi:

— Dość już! Oto, Wacku, pieniądze, weź i zapłać; ja idę do domu.

— Nie! — żywo odpowiedzieli obaj brackowicie, — my płacimy!

— Ależ nie!

— Tak! Przecie nie ostatni raz się widzimy, drugi raz ty zafundujesz.

— No, dobrze, dobrze! — odzекł niechętnie Mieczek, bo mu przykro było, że nie on sam ale drużcy za niego płacą.

Wyszli. Mieczek ledwo się trzymał na nogach. Wiedział jednak, że mu trudno iść prosto, nie slaniając się, wstydił się tego i pomyślał, jakie to będzie spotkanie z matką, co jej powie.

Wygadał się też z tém głośno.

— Chachacha! — rozległ się śmiech Wacka i Mańka. — A cóżes to ty? panna? A choćby! Nie pracujesz-to? nie wolno ci? Co ci stara?... Nie dokończył Wacek tych słów, bo Mieczek tak go walnął w ucho, że tamten aż bęcnął w rynsztok.

— Jestem pijany, jestem bydlę, ale matce ubliżać nie dam!...

Wacek poczuwszy siłę Mieczka nie okazał mu nawet obrazy i podnosząc się z ziemi zaczął go łagodzić:

— No, nic już nie mówię, kiedyś ty taki obraźliwy.

Niezadługo się rozstali, a przy rozstaniu bracia rzekli:

— Przychoź-że tam na ten sam róg w sobotę, nie zapomnij!

Pani Janowa ujzawszy syna, chociaż miał minę pokorną, odrazu poznała, że jest nietrzeźwy. Oczom swoim nie dciata wierzyć, ale wierzyć musiała. Nie zrobiła mu jednak żadnej wymówki, tylko długo, długo modliła się przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. A łzy spływały po biednej, przedwcześnie zestarzałej twarzy kobiety.

Mieczek leżąc na łóżku widział te łzy i wyzucał sobie, że stał się ich przyczyną.

Leż w odużonej wciąż jeszcze głowie jego zaczęło się majaczyć i wkrótce zasnął.

Po przespanej nocy życie potoczyło się zwykłą koleją. I przez kilka tygodni było spokojnie, jak bywało prawie zawsze dotąd.

Mieczek pracował w fabryce. Aż pewnego dnia, gdy wyszedł po robocie i wypłacie na ulicę, zobaczył przed bramą stojącego Wacka. Złe ubrany, z tą swoją wyniszczoną twarzą i jakimś bezzelnym uśmiechem, stał z papierosem w ustach, upatrując widocznie kogoś, co mu nie przeszkadzało obizuć przechodzące kobiety takim wzrokiem, pod którym niejedna rumieniła się, albo ze wzgardą i obuzeniem się odwracała. Spostzegłszy Mieczka, podszedł ku niemu.

— Cóż ty, frajeze, nie myślisz nam się odplacić? Trzy soboty ubiegły, a tego jak niema, tak niema, — mówił niby żartobliwie, po zwykłym powitaniu.

(Co było dalej, — podamy za tydzień.)

Fatyma.

GOSPODARSTWO.

Gospodarstwo na gruncie piaszczystym.

Jakim sposobem, i czemu takim je podnieść.

(Ciąg dalszy.)

Drugim warunkiem powiększającym płodność ziemi jest obfitość paszy. Przyspazamy sobie paszy przez użycie przedplonów i międzyplonów, oraz przez obsiew ściernisk. Aby mieć w miarę potrzeby przedplony i międzyplony, należy zgóry ułożyć odpowiedni płodozmian, w którym by plody następowały po sobie tak, jak tego wymaga mianowicie to gospodarstwo, o które chodzi. Trafny układ płodozmianu ma bardzo ważne znaczenie dla gospodarstwa, tém ważniejsze, że każda zmiana w tym układzie, jeśli wypadnie ją zrobić, odbija się niekorzystnie na ogólnym zarządzaniu, wprowadza chwilowo nieład i zamieszanie. Płodozmian winien ściśle odpowiadać miejscowym warunkom, przyczem należy mieć na uwadze następujące prawidł:

1) Układać następstwo plodów tak, aby plód poprzedni rolę spulchniał i oczyszczał z chwastów, a to czynią rośliny okopowe i groszkowe. Pozostawiają one po sobie miejsce przygotowane dla roślin wymagających roli czystej i puldnej, więc dla roślin kłosistych.

2) Dla roślin mających wielką wartość handlową dawać przedplony wyborowe. Doświadczenie uczy, że im lepiej uda się przedplon, tém lepszy zbiór otrzymamy i z samego plodu. Pochodzi to stąd, że gdy przedplon dobrze wyrośnie, to i rola po nim będzie w dobrym stanie, gdyż była dostatecznie ocieniona, a przytém użyźniona i resztki pozostałe w ściernisku i korzeniach, i nagromadzony w gruncie azot.

3) Pamiętać dać długi odstęp czasu dla roślin, które następować po sobie nie lubią. Do roślin takich należy szczególnie czerwona koniczyna, a także groch. Nie można tu jednak ustanowić ogólnego prawidła, gdyż powrót tych roślin na to samo miejsce zależy bardzo od jakości gruntu. Średnio, jak stwierdza doświadczenie, nie powinny one następować po sobie częściej niż co 7 do 8 lat. Wyka może powrócić co 5 lub 6 lat. Kartofle i zboża mogą być siane po sobie samych. Wogóle wszakże nienależy siać pszenicy po pszenicy, lub owsa po owsie.

4) Układając płodozmian należy ro-

boty około uprawy, pielęgnowania i zbioru roślin rozkładać równomiernie od wiosny do końca jesieni, aby uniknąć zbytecznego nawału robót w krótkim czasie i korzystnie zużytkować siły ludzi i zwierząt, a tém samém zmniejszyć koszty.

5) Najważniejszą rzeczą przy układzie płodozmianu jest umiejętne wyliczenie, ile siać roślin handlowych, to jest takich, które mamy sprzedać, a ile roślin pastewnych, mających służyć na miejscu do żywienia zwierząt. Wytwory tych zwierząt, jak mleko, wełna, mięso, przy sprzedaniu winny dać taki dochód, aby wynagrodził się ubytek spowodowany niskimi cenami zboża. Nadto, dając obszerne miejsce pod rośliny pastewne, zmniejszamy koszty uprawy, bo wiele z nich po zasianiu trwa lat kilka.

6) Płodozmian należy tak ułożyć, aby można było uprawiać jak najwięcej międzyplonów. Jest bardzo wiele odpowiednich do tego roślin, które nietylko tworzą znakomitą paszę, ale nadto mając zdolność pochłaniania z powietrza i gromadzenia azotu, dają znakomity nawóz zielony. Dawno o tém wiadano, że rośliny groszkowe ziemię użyźniają, ale dopiero w ostatnich czasach wyjaśniono, na czém to użyźnienie polega. Wyjaśniono, że rośliny motylkowe (koniczyna, groch, wyka, bobik, ptaszyniec (seradela) i t. p.) prawie całą ilość azotu potrzebną do wytworzenia w nich cząstek białkowatych czerpią z nieprzebranego obszaru powietrza. Za ich pośrednictwem możemy gromadzić w ziemi wielki zasób związków azotowych, tworzących w nawozie część najdroższą, i tém samém polepszyć płodność gruntów ubogich, lub przez uprawę wyczerpanych.

Mając grunt lekki, piaszczysty, należy uprawiać jak najwięcej roślin pastewnych groszkowych, siając je jako przedplony i międzyplony. Rośliny te podnoszą prędko urodzajność gruntów, przez co gospodarz osiąga tanim kosztem obfite zbiory dobrej paszy i może hodować więcej zwierząt. Za pośrednictwem tych roślin możemy sprowadzić sobie z powietrza do roli znaczną ilość najdroższych pokarmów dla roślin. Uprawa przedplonów wzbogaca ziemię w części próchniczne. Przytém korzonki zasianego potem zboża zdążają za gnijącymi a głęboko sięgającymi korzonkami przedplonów, i przez to głębiej się zakozienają niż zwykle. Im głębiej zaś zboże się zakozieni, tém wytrzymalsze będzie na suszę, gdyż będzie ciągnęło wilgoć ze spodnich warstw ziemi. To też zboże siane po przedplonie daje dobry zbiór nawet w lata suche.

Jakkolwiekby postąpimy z roślinami groszkowymi, — czy przyozemy je jako nawóz zielony, czy użyjemy na paszę dla zwierząt, które za to dadzą nawóz, — w każdym razie wzbogacimy ziemię w próchnicę, której zrazem nagromadzi się w gruncie znaczna ilość. W każdym więc razie grunta zostaną ulepszone, nabiorą tak pożądaną w ziemiach lekkich zwiększoną, i będą mogły więcej wilgoci pochłaniać i dłużej ją zatrzymywać. Tym sposobem usuniemy jedną z najważniejszych wad gruntów lekkich. W dalszym ciągu uprawiania międzyplonów, będzie można pogłębić warstwę rodzajną, a od tego urodzajność ziemi jeszcze bardziej się poprawi, urodzaje będą pewniejsze.

Objasniwszy wogóle, jak należy prowadzić gospodarstwo, nakreślił płodozmian, który tu uważam za najstosowniejszy. Rządę na tych 100 morgach ziemi zaprowadzić płodozmian 10-polowy następujący:

1) Okopowe (kartofle i marchew) na pełnym nawozie zwierzęcym z dodatkiem

6 centnarów żużli Tomasa. 2) Owies z koniczyną białą i czerwoną (jeśli koniczyna czerwona udaje się) i z domieszką traw. 3) Koniczyna na siano, dwa pokosy. 4) Koniczyna, jeden pokos, i uprawa pod żyto z dodaniem 6 centnarów żużli i 4 centnarów kainitu. 5) Żyto z ptaszyncem (seradela). 6) Łubin na przyoranie z dodatkiem 6 centnarów żużli i 4 centnarów kainitu. 7) Żyto z ptaszyncem. 8) Mieszanka z grochu i owsa na nawozie zwierzęcym. 9) Żyto z ptaszyncem. 10) Ptaszyniec (seradela) i łubin na nasienie.

Jeżeli łąk jest mało, albo brak pastwiska, w takim razie koniczynę, podsianą trawami, można zatrzymać przez lat trzy, zbierając przez dwa lata na siano, w trzecim zaś roku obrócić na pastwisko. Siew ptaszynca na nasienie przenieść w pole łubinowe.

Przy takim przekształceniu płodozmianu następstwo plodów będzie takie: 1) okopowe, 2) owies z koniczyną, 3) koniczyna na siano, 4) koniczyna na siano, 5) koniczyna, pastwisko, 6) żyto, 7) łubin i ptaszyniec na nasienie, 8) żyto, 9) mieszanka, 10) żyto.

A. Strzelecki.

Listy do Gazety Świątecznej.

Z miasta Turners-Fallsu w Ameryce Północnej.

(Ciąg dalszy.)

Amerykanie (właściwie potomkowie osiadłych oddawna w Ameryce Anglików) nazywają siebie Jenki. Warto przypatrzeć się ich życiu. Są to po większej części ludzie cisi i pracowici. Całe życie byś czekał, zanim byś ich kłócących się zobaczył. Im nie chodzi o jabłoń na granicy, ani o kilka lub kilkanaście drzew. Jeżeli mają między sobą jakiś zatarg sąsiadki, to udają się do starszych, do dziadków, albo do rodziców, i dopiero ten dziadek lub ojciec rozstrzyga, kto ma słusność, nie bacząc, czy wyrok wypada na korzyść, czy na niekorzyść jego wnuka lub syna. A gdy wyda wyrok, co obie strony pilnują się granicy im wyznaczonej, polegając na słowie i na rozważeniu starszego. Bo też zdrowy rozum i rozwagę do późnej starości zwykle zachowują.

W pożyciu domowym wartoby tych Jenków naśladować. W każdym prawie domu znajdziesz tu cichość, porządek i spokój. Wszedłszy do mieszkania ludzi ubogich, nie możesz prawie swoim oczom wierzyć; taka tu czystość i porządek, jakby w jakim pałacu: izba o dużych oknach, dobrze oświetlona, podłoga lakierowana, sprzęty schludne i ładnie ustawione, a stół zawalony gazetami. Nie żyłby Amerykanin, gdyby nie czytał gazety. Jest to naród chciwy wiedzy i może się poszczycić, że najuboższy z jego synów więcej czyta, aniżeli w Europie szlachcic pięćsetmorgowy. Dlatego to właśnie w domach ich panuje ład i spokój. Syn słucha z wielką uległością ojca, córka — matki, żona męża, a mąż prawa i... żony. Rozkazy jej spełnia z wielką akuracją. Amerykanki włożyły na mężów dwa ciężkie obowiązki: dojenie krów i wczesne wstawanie. Roześmiałyby się właściciel dużego majątku w Europie, gdyby zobaczył bogatego gospodarza amerykańskiego w ubraniu umyślnie do bydła zrobionem, w tak zwanych „oberhozach”, gdy ze skopkiem w rękę do bydła śpieszy. Ciekawie też przypatrywałby się jego dojeniu. On nie doji dwoma palcami, jak u nas smykają, tylko całą garścią; to też w pięć minut najmleczniejszą krowę wydoji. Gdy-

by się zaś pieścił po naszymu, toby mu dużo czasu schodziło przy kilkunastu krowach. Po wydojeniu krów mąż obowiązany jest żonę zbudzić; a zanim ona się ubierze, on tymczasem ogień jej rozпали. Żona za to obowiązana jest sporządzić czyste i smaczne potrawy. Amerykanin za pomoc okazaną żonie ma stół na czas zastawiony rozmaitemi potrawami i przysmakami przyprawionemi bez wielkich kosztów, ale lepiej niż u nas przyprawiłby kuchaz dworski. Czy nie należałoby i u nas naśladować Amerykanów? I naszej kobiecie wiejskiej przydałoby się trochę pomocy; ona w domu jest prawdziwą sługą. Ledwo wstanie z łóżka, nie przeżegnawszy się nawet, natychmiast śpieszy ze skopkami do krów, by je jak najprędzej wydoić i na pastwisko wypędzić, a potem na czas śniadanie przyrządzić. Ledwie wróci od bydła, rozczochrana i obłocona bierze się do przyrządzania śniadania. A w tym czasie zazwyczaj dzieci się budzą, tza więc oderwać się od zacierków i jedno i drugie ubrać. A tymczasem mąż sobie w najlepsze się wyleguje, gdy zaś wstanie, marudzi, że na śniadanie są tylko dwie potrawy i niezysto ugotowane. A tu żona nie ma czasu nawet paciezza zmówić, więc jak ona ma czysto i porządnie coś przyrządzić? Naśladujcie, bracia, Amerykanów, a będziecie mieli smaczne pożywienie i czystą gospozię.

Byłem na ślubie dwojga wychodców naszym. Ślub dawał ksiądz irlandczyk. Państwo młodzi składali przysięgę po angielsku. Ale zdaje mi się, że nie rozumieli co ksiądz mówił, tylko odpowiadali jednym wyrazem: jes, jes, to jest po naszymu: tak, tak. Po takiej przysiędze podano krzyż do całowania, i już zostali połączeni.

Po ślubie szukałem sposobności, by dowiedzieć się od panny młodej, czy rozumiała przysięgę. Słowa moje były prawie natrętne, bo zapytałem:—Czyś zadowolona z przysięgi tak wymownie złożonej, i czy będziesz pamiętała, że ona cię obowiązuje?—A ona mi na to:—Choć usta moje nie wymówiły słów, a choćby i wymówiły, to bym ich nie rozumiała; Bóg jednak widział intencję moją i mego męża, więc i przysięga nasza jednym słowem potwierdzona jest ważna.—A gdyby twój ulubiony stał się złym mężem, gdyby był batem twój skóry, to zapewne byś żałowała, żeś mu przysięgła? Jak mi wiadomo, jednego dnia poznaliście się i niebarczoście się dobrali: tyś polka, a on czech, różnicie się mową, może będziecie się różnili i w postępkach.—Co prawda,—odpowiedziała,—to go wcale nie znam. Gdyby zapowiedzi były głoszone jak u nas, przez trzy niedziele, tobym miała czas poznać jego usposobienie. Ale tu pierwsza zapowiedź była w niedzielę, a dziś w poniedziałek ogłoszono drugą i trzecią zapowiedź, i zaraz potem dano nam ślub. Gdybym więc zawiodła się, gdyby się okazało, żeś dostała złego męża, to łatwo byłoby po takich zapowiedziach ślub zerwać, tém bardziej, że i przysięgi nie rozumiałam, i nie wiem, jakie obowiązki na mnie włożono.—A toć mówiłaś przed chwilą, że intencja przed Bogiem starczy za słowa, a teraz rozumiesz inaczej?—To tylko dla dobrego męża, ale jakby marudził, a pięść pokazywał, to idź do piekła! To nie u nas w kraju, gdzie trzeba całe życie męża się pilnować. Od tego tu Ameryka, żeby żyć i używać jak się komu podoba.—Takie więc mają tu nasze dziewczęta pojęcie o ważności przysięgi, o świętości małżeństwa. Smutno o tém pisać, a jeszcze smutniej na to patrzeć i porównywać na-

szych wychodców z rodowitymi Jenkami.
Jan z Piotrowic.

Nowinki telegraficzne z różnych stron świata.

Ze Szwecji. Sztokholm, d. 15. Zgromadzenia naukowe w Szwecji i sejm norweski wyznaczyły doroczne nagrody z wielkiego zapisu zmarłego w Szwecji przed kilku laty bogacza Nobla. Nagród tych bywa corok pięć, a każda wynosi około 70000 rubli. Trzy nagrody przeznaczone są dla uczonych, którzy dokonali nowych a ważnych odkryć naukowych i wynalazków, jedna dla najznakomitszego pisarza lub pieśniarza, i jedna dla kogoś z tych, co najbardziej pracą swą i staraniami dążą do zniesienia zwyczaju załatwiania między mocarstwami sporów przez wojny.—Teraz jedną z takich nagród naukowych podzielono na pół, i jedną połowę zasądono Henrykowi Bekerelowi (lat 51), francuzowi pracującemu nad chemją i fizyką, a drugą połowę uczonemu kobiecie, polce, urodzonej i wychowanej w Warszawie, Marji Skłodowskiej z domu, i mężowi jej Piotrowi Kiuremu (który pisał się po francusku Curie). Ma ona teraz lat 35. Mieszka ze swym mężem we Francji, w Paryżu, dokąd na wyższe nauki wyjechała, i gdzie dokonała najpierw sama, a potem wspólnie z mężem (o dziesięć lat od niej starszym) ważnych odkryć w nauce chemji. Wykryła ona istnienie w świecie i w ziemi trzech nieznanych przedtém ciał, tak zwanych pierwiastków chemicznych. Nazwała je: jedno *polon* (ponieważ sama jest polką), drugie *aktyn* (od wyrazu *akt* czyli czynność), trzecie *radjum* czyli *rad* (od łacińskiego wyrazu *radius* co znaczy promień—wydaje ono bowiem z siebie promienie świetlne czyli świeci). O dziwnych własnościach tego radu, które zresztą nie są jeszcze dobrze zbadane, uczeni opowiadają prawie cuda i wróżą temu odkryciu ogromne znaczenie w nauce. Głównie więc za to ostatnie odkrycie, dokonane już przy pomocy męża, który jest także uczonym w chemji i fizyce, otrzymała nagrodę. Inne nagrody naukowe całkowicie otrzymali: uczony w fizyce i chemji szwed Arenjus (lat 45) i lekarz duński Finzen, wynalazca nowego sposobu leczenia chorób skórnych zapomocą światła elektrycznego (lat 43). Nagrodę pisarską dostał norweski pisarz powieści i utworów do przedstawiania w teatrze, Bjernson-Bjernstjerna (ma lat 71); nagrodę pokoju—angielski poseł sejmowy, Wiljam Kremer (lat 65).

Z Japonji. Tokjo, d. 13 grudnia. We czwartek, 10-go grudnia, posłowie wybrani przez naród ze wszystkich okolic Japonji zjechali się w mieście Tokju, aby zgromadzić się na sejm, radzić o potrzebach kraju i uchwalać to, co większa część tych przedstawicieli narodu uzna za dobre. Na pierwsze zgromadzenie sejm przyjechał wspianą kolasą w czwórce koni zaprzęgoną cesarz, zasiadł w wielkiej izbie sejmowej na tronie, i według powzelnego zwyczaju, dał początek obradom swoją mową. O tém jednak, co Japonję i Japończyków teraz najmocniej obchodzi, powiedział mało. Oznajmił, że między rządami japońskim i rossyjskim toczą się układy co do Koreji i Chin z Mandżurją, i że może prawa Japonji dają się zabezpieczyć sposobem pokojowym, ostrożnym, bez narażenia narodu na duży rozlew krwi i ogromne wydatki

pieniężne. To krótkie oświadczenie cesarskie nie zadowoliło zgromadzonych na sejm. Pierwszą sprawą, którą się sejm zajął, był, również według zwyczaju, „adres” do cesarza, czyli pisanie z odpowiedzią na jego mowę tronową. I uchwalili odpowiedź taką, że nietylko nie chwalał rządowi, nie dziękują mu za jego starania, ale zganili ministrów, że zanadto są ostróżni, za bardzo zwlekają, że miękko wzięli się do rzeczy i nie kozystali z najlepszej pory i sposobności. Wogóle sejm okazał, że nie ufa takim ministrom. Pisanie to doręczono cesarzowi. Z powodu nagany sejmu ministrowie postanowili ustąpić ze swych urzędów, i prosili cesarza, aby ich zwolnił. Ale cesarz kazał im dalej pełnić swe urzędy do czasu, aż nowy sejm się zgromadzi; terażniejszy zaś sejm rozwiązał, zamknął, i rozkazał ogłosić, żeby naród na nowo posłów do sejm wybrał. Nowe te wybory mają odbyć się dnia 1-go marca, a nim to nastąpi, rząd ma czas czynić bez przeszkody to, co będzie sam uważał za najstosowniejsze.

— **D. 15.** Rząd angielski wysłał sporą liczbę swoich wojsków, oficerów, do Japonji, a Japonja swoich nawzajem do Anglii. Obydwa te mocarstwa chcą, aby między ich wojskami była łączność, i aby jedno nie było gorzej od drugich.

— **D. 15.** Anglja i Stany Zjednoczone amerykańskie bacznie śledzą, co się dzieje w Chinach, Mandżurji i Koreji. Mocarstwa te nie są rade rozszeszaniu się tam przewagi Rossji i bardziej trzymają stronę Japonji. Bardzo wątpliwa jednak jest rzecz, czy w razie wojny dadzą one Japończykom pomoc. Rząd japoński zapytywał o to niedawno przez swego posła w Ameryce tamtejszego rządu w mieście Wazyngtonie, lecz nie otrzymał dobrej dla siebie odpowiedzi. To skłania Japonję do większej ostróżności.

— **D. 16.** Wyżsi oficerowie japońscy znajdujący się przy postach swojego rządu w stolicach mocarstw europejskich, na przykład w Berlinie i w Rzymie, zostali wezwani napowrót do Japonji, ponieważ są tam potrzebni jako dowódcy oddziałów wojska będącego w pogotowiu do wojny.

Z Koreji. Seul, d. 15. Pod miasteczkiem nadmorskiem Czemułpem na Koreji stało 8 rossyjskich okrętów wojennych. Dowodzący nimi admirał wysiadł na bżeg i pojechał do stolicy Koreji, miasta Seulu, gdzie razem z posłem rossyjskim udał się do tamtejszego cesarza. Na posłuchaniu cesarskiem była mowa głównie o korejskiem mieście nadmorskiem Johampie, do którego, na żądanie Japonji, cesarz korejski pozwolił wpuszczać bez przeszkody okręty i podróżnych ze wszystkich mocarstw. Ponieważ zaś to miasto leży w blizkiem sąsiedztwie z południową Mandżurją, zajmowaną obecnie przez wojska rossyjskie, Rossja zastzega prawo wolnego wstępu do tego miasta tylko dla siebie.

Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki. Nowy-Jork, d. 14. Minister wojny w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, generał Rut, przemawiał do zgromadzonych oficerów wojsk lądowych i morskich, aby byli ze sobą w zgodzie, jako rodacy, bracia i synowie jednej wspólnej ojczyzny. Zgoda ta jest tém jeszcze potrzebniejsza dziś, niż kiedykolwiek,—mówił minister,—bo niedaleko jest ten czas, kiedy Ameryka będzie musiała toczyć wojnę z mocarstwami Europy.

Z Wenecueli (w Ameryce południowej). Karakas, d. 15. Do Wenecueli przywieziono na okręcie z Europy 15 tysięcy karabinów, 12 miljonów nabojęw i 10 armat,

zakupionych przez rząd wenecejski. Podobno Wenecuela przygotowuje napad na sąsiednią republikę Kolumbię, w razie, gdyby ta rozpoczęła wojnę ze Stanami Zjednoczonymi o międzymorze panamskie.

Z Austrii. Wiedeń, d. 16. Poseł serbski Wuicz był u cesarza austriackiego z prośbą, aby nie kazał swojemu posłowi wyjeżdżać z Serbji. Cesarz Franciszek-Józef odpowiedział, że to, co uczyniono w Serbji dnia 11 czerwca, zraziło do niej świat cały. Austrija dobrze Serbom życzy, ale nie może z ich rządem być w dobrych stosunkach, dopóki przy ich królu i na czele ich wojska stoi banda ohydnych zbrodniarzy. Król powinien ich wszystkich ukarać, a przynajmniej odepchnąć. Tego cała Europa żąda. Jeśli zaś i nadal ci zbójce będą Serbji rządili, to doczeka się ona czegoś o wiele gorszego, niż wyjazd posłów zagranicznych.

D. 15. Borys Sarafow, najdzielniejszy z dowódców bułgarskich w Macedonii, przejeżdżał kolejną żelazną przez Serbję, Węgry i Austrię do Francji i Anglii. Po drodze zatrzymywał się w Belgradzie i Wiedniu. Tu (w Wiedniu) mówił, że walki w Macedonii ustały tylko na czas zimy, a z wiosną rozpoczną się na nowo i trwać będą póty, aż Macedonja otrzyma zupełny samorząd.

D. 15. Wspólny dla Austrii i Węgier minister wojny, generał Pitrejk, oznajmił w sejmie austriackim, że tylko ci oficerowie będą posuwani na wyższe stopnie w służbie wojskowej, którzy będą umieli rozmówić się dokładnie z podwładnymi sobie żołnierzami w ich rodowym języku. Dotychczas zdarzało się w Austrii często, że w pułkach, złożonych z samych naprzykład Słowenów, Polaków, albo Czechów oficerami byli Niemcy, nie umiejący prawie ani słowa z języków podwładnych sobie żołnierzy, tak, że nie mogli ani ich rozumieć, ani być przez nich rozumieni.

Lwów, d. 15. Na zapomogi dla mieszkańców Galicji, zagrożonych nędzą i głodem z powodu tegorocznego wylewu Wisły, Dniestru i innych rzek płynących do tych obu od gór, rząd austriacki przeznaczył przed paru miesiącami milion reńskich. Teraz, za staraniem namiestnika Galicji, Andrzeja Potockiego, przeznaczono na ten sam cel jeszcze 650 tysięcy reńskich.

Z Turcji. Konstantynopol, d. 15. Pełnomocnikami dozoru nad zarządem tureckim w Macedonii mianowani zostali: przez Rossję Demeryk, konsul rossyjski w mieście Bejrucie (w Turcji Azjatyckiej), a przez Austrię Miller, urzędnik przy posle austriackim w Konstantynopolu. Będą oni wraz z Turkiem Hilim baszą baczyli na wszystko, co się dzieje w Macedonii, a głównie pilnowali, aby zalecone rządowi tureckiemu przez mocarstwa zmiany i ulepszenia w tej krajnie były należycie zaprowadzone. Sam cesarz turecki podobno żąda teraz przyspieszenia tych zmian, aby zostały one dokonane przed wiosną, w pierw nim Bułgazy znowu rozpoczną w Macedonii wojnę.

Z Grecji. Ateny, d. 15. Koło brzegu wyspy Itaki dwa okręty greckie, źle skierowane przy wymijaniu się, udeżyły się gwałtownie o siebie. Jeden, mając bok strzaskany, poszedł niezwłocznie na dno. Utonął 50 osób.

Z Anglii. Londyn, d. 12. Królowa angielska Aleksandra, żona króla Edwarda, o mało co we czwartek dnia 10 grudnia nie zginęła w okropny sposób w zamku

królewskim w Sandryngamie. Król był na łowach, ona zaś z jedną towarzyszącą jej panią nocowała w tym zamku. Towarzyszka zbudziła się przed ranem uczuwszy silny dym. Weszła więc do sypialni królowej, zbudziła ją z twardego snu, i obie wybiegły budzić służbę i wołać o ratunek. Minęło zaledwo minut dwie od wstania królowej, gdy nagle podłoga w sypialni z łóżkiem zapadła się, ponieważ belki pod nią się przepaliły. Ogień powstał od zepsucia się i zetknięcia obu drutów prowadzących elektryczność do oświetlenia pokoju.

Z Afryki południowej. Kapsztat, d. 16. Mówią, że niezadługo nowa wojna będzie w Transwalu i Oranji, lecz w innym celu niż była. Wśród ludności tych krajów, zarówno wśród krajowców jak i przybyszów z Europy poszukujących zarobku, jest wielkie wzburzenie, ponieważ rząd angielski, a raczej angielskie towarzystwo handlowe sprowadza tam teraz do kopalń i fabryk robotników z Chin, z Azji, a innym ludziom nie daje zarobku. (Chińczycy słyną w świecie z tego, że są robotnikami bardzo pracowitymi, akuratywnymi i pojętymi, a żyją tężewo i oszczędnie, i poprzestają na małym wynagrodzeniu.)

Wzajemna wdzięczność. Ś. p. Stefan Kowerski, właściciel majątku Józnowa pod Bychawą, spisując przed śmiercią ostatnią wolę, przeznaczył między innymi sto rubli dla rymaza Marcina Maja, aby tym sposobem okazać mu życzliwość za długoletnią uczciwą służbę. Maj nawzajem zaprzagnął wywdziżyć się za okazaną życzliwość, a rozumiejąc, że zmarłemu najlepiej wywdziżyć się można modlitwą, zamówił w kościele parafjalnym uroczyste nabożeństwo żałobne i zaprosił na nie rodzinę zmarłego. Maj był w Józnowie długi czas woźnicą, a potem rymazem. K. G.

Rozwiązanie zagadki z Gazety 1195:

Dlatego, aby uszy posłuchały, bo jakże by to uszy widzieć miały, nos wężał, gardziel tykał, usta brały, ręce się dotykały, podawały, a uszy nie by o tém nie wiedziały?

Ziemia do kupowania.

Chmielnik (gub. kielecka, pow. stopnicki). Urząd gminny, 22 grudnia: N. t. 26 w Lubani, gm. Chmielniku, 8 m., lic. od 200 r.

Niegoszewo (gub. łomżyńska, pow. ostrowski). Urząd gminny, 22 grudnia: N. t. 8 w Grabownicy-Nowej, gm. Porębie, 9 m. z bud., lic. od 150 r.

Ceny w Warszawie.

	Płacono i Żądano			
	od R.	do K.	od R.	do K.
Na rynku sienio-zbożowym Witkowskiego, dnia 17 grudnia.				
Pszenica (kozec 242 f.)				
wadiwa				
" pstra i wilg.				
" biała			5 60	5 80
" wyborowa			5 85	6 25
Żyto (kozec 232 f.)				
wadiwe	3 95			
" średnie	4			
" wyborowe		4 10		
" litewskie		4 25		
Jęczmień 4-zęd. (k. 200 f.)	3 70	3 80		
Owies (kozec 160 f.) średni	2 90	3 10		
Groch (kozec 260 f.)				
Rzepak zimowy				
Kasza jaglana (pud czyli 40 f.)				
Kartofle (kozec)	2 60	2 80		
Siano (pud czyli 40 funtów)	— 40	— 45		
Stoma (pud czyli 40 funtów)	— 25	— 30		

Targ na Prażę przy stacji kolei Terespolskiej. 17 grudnia.

Cena puda (40 funtów) przy kupnie całymi wagonami.
 Pszenica (żądano) od 93 k. do 1 r. — k.
 Żyto (żądano) od 71 k. do 75 k.
 Owies (płacono) od 68 k. do 86 kop.
 Jęczmień na kaszę (żądano) od 66 k. do 72 k.
 Gryka (płacono) od 78 kop. do 80 kop.
 Kasza jaglana (żądano) od — r. 95 k. do 1 r. 15 k.
 Kasza gryczana (płacono) od 1 r. 18 k. do 1 r. 20 k.
 Groch wazelnny (płacono) od 1 r. — k. do 1 r. 15 k.
 Groch „Wiktorja” (żądano) od 1 r. 30 k. do 1 r. 35 k.
 Groch na paszę (żądano) od 80 k. do 90 k.

Ceny w Lipawie, 14 grudnia.
 Żyto 74 kop. do 75 k., za pud, pszenica — r. 93 k. do — k., owies biały zwyczajny 61 k. do 77 k., owies czarny 61 do 62 k., gryka 81 do — k., groch — do — k., siemię lniane litewskie od — r. — k. do 1 r. 28 k., siemię konopne 1 r. 9 1/2 k., makuchy słonecznikowe — k., otręby pszenne — do — k.

W mieście ŁODZI ZAGINAŁ CHŁOPIEC

lat 11, nazywa się Józef Ender, miał na sobie krótkie ciemne ubranie i buty. Wyszedł z domu jeszcze przed dniem Wszystkich Świętych. Ktoby z czytelników co o nim wiedział, niech zawiadomi Jana Endera mieszkającego w mieście Łodzi przy ulicy Miedzianej, pod liczbą 8.

KAWALER, lat 32, katolik, z początkowym wykształceniem, pełniący już obowiązki pisarza procentowego i pomocnika ekonoma, poszukuje posady. Chce pracować usilnie, tężewo, wiernie i sprawiedliwie. Adres: poczta Stara Wieś w gub. warszawskiej, *poste-restante* „Dla pracowitego”. 2570*—3—3

Potrzebny od Nowego Roku podług nowego kalendarza **EKONOM KAWALER**. Pensji 100 r. i rolne utrzymanie. Krótki życiorys i odpisy świadectw nadsyłać: gub. grodzieńska, poczta Zapole, dobra Sieradowo. 2580*

MLYN LELITY w pow. częstochowskim (gmina Popów, poczta Działosyn) jest do sprzedania. W nim 3 pary walców, 2 pary kamieni i perlak, i wszelkie najnowsze urządzenia. Do tego 3 włóki gruntu. 2573

MLYN wodny nieduży i kilka morgów gruntu kupię lub wezmę w dzierżawę. Szczegółowy opis, warunki i cenę ostateczną przesłać pod adresem: *Grodzisk „poste-restante” E.* 2552

MLYN AMERYKAŃSKI walcowy wodny pod miastem, pięć wiorst szosą do stacji kolejowej Myszkowa, z dużym domem murowanym z cegły i zabudowaniami gospodarskimi w dobrym stanie. Ziemi, łąk dobrych, lasów i zarośli morgów 59. Do sprzedania w każdym czasie. Wiadomość na miejscu. Adres: Jan Rakowski w Żarkach, gub. piotrkowska. 2572*—3—3

MAJATEK KOPCIE w pow. węgrowskim, 20 włók, sprzedaje się na działki włókowe z pomocą banku włościańskiego. 6 wiorst od stacji Kotunia przy kolei Terespolskiej, 4 wiorsty od szosy warszawsko-bzeskiej. Z budynkami, zasiewami zimowemi i wiosennymi. Do każdej włóki 4 morgi lasu dobrego i około 3 m. łąki. Gruntu pszenne. Wszystko już pomierzone i podzielone. W miejscu kościół, zeka. Wiadomość na miejscu, lub w Warszawie, ulica Wspólna, 62, mieszkania 3. 2574

Jest do nabycia we wszystkich księgarniach nakładu J. Błaszkwskiego:

HISTORJA ŚWIĘTA
 STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU
 przez Dmochowskiego, cena 10 kop.
ST. JACHOWICZA, ELEMENTARZ,
 z 24 obrazkami, cena 15 kop.
 Skład główny w księgarni M. Arcta, Nowy-Swiat, 53. 2540—4—4*

CHORZY NA OCZY znajdują poradę w WARSZAWIE, przy ulicy SENATORSKIEJ, 32, w Zakładzie dla chorych na oczy **DOKTORA KEPINSKIEGO**. Oplata za poradę 50 kop. 2484*—17